

Strefy no-go. Mity czy rzeczywistość?

7 września 2018

Temat „no-go-zones”, stref miejskich, do których nie jest bezpiecznie wchodzić, był przedmiotem gorącej dyskusji w mediach na przestrzeni ostatnich lat. Postawiono sensacyjną tezę o istnieniu całych muzułmańskich dzielnic, do których nie mają wstępu nie-muzułmanie.

Clichy-sous-Bois, wschodnie przedmieście Paryża

Na przykład w 2015 roku, aby podkreślić powagę sytuacji, Fox News gościła „eksperta od terroryzmu” Steve’a Emersona, który powiedział, że angielskie Birmingham jest już w całości muzułmańskie. W rzeczywistości muzułmanie stanowią tam tylko 22%. Z powodu tej wypowiedzi premier Cameron nazwał Emersona kompletnym idiotą.

Po tych wypowiedziach, przez kilka tygodni, termin „no-go-zones” był intensywnie wyśmiewany w Europie. Wiele osób kwestionowało tę nazwę, od naukowców po ludzi, którzy w tych strefach żyją. W istocie temat stał się pożywką dla satyryków we Francji i nie tylko. W jednym z francuskich programów został wysłany do takiej „niebezpiecznej” okolicy korespondent, nie-muzułmanin, a po jego bezpiecznym powrocie zrobiono z jego relacji komediowy występ. Telewizja Fox News przeprosiła później, za słowa Emersona:

„Żeby było jasne, nie ma formalnego wyznaczenia tych stref w żadnym kraju i nie ma wiarygodnych informacji potwierdzających twierdzenie, że w tych krajach istnieją określone obszary, które wykluczają osoby opierając się wyłącznie na ich religii.”

Także w 2015 roku gubernator Luizjany, Bobby Jindal, skrytykował imigrantów za domniemany upór w nieintegrowaniu się oraz odrzucaniu przez nich wartości kraju, w którym

przebywają. Chociaż nie podał żadnego przykładu strefy no-go w Ameryce, Jindal powiedział, że „słyszał od ludzi”, że „są w Ameryce obszary gdzie kobiety nie czują się swobodnie chodząc bez chusty”. Reakcja mediów społecznościowych była bardzo różna, jeden z komentarzy odnosił się do traktowania czarnoskórych w USA:

„Dziękujemy Panu, Panie Jindal, za troskę o niezliczone no-go-zones w Europie gdzie muzułmanie wprowadzili szariat, a gdzie nie-muzułmanie nie mają wstępu. Ale czy nie powinniśmy się martwić przede wszystkim o niezliczone no-go-zones w Stanach, w których czarny chłopak w kapturze jest nie tylko wykluczany, ale także [może być] zastrzelony przez białych policjantów?”

Czy wobec tego strefy zagrożone, no-go zones, są zjawiskiem dobrze udokumentowanym? Czy raczej fantazją wykorzystywaną do demonizowania biedniejszej części społeczeństwa?

Zgodnie z moją wiedzą termin ten wprowadził w 2006 roku Daniel Pipes. Jest on założycielem Middle East Forum i dobrze znanym propagatorem antyislamskich działań i poglądów. Według Fox News, no-go zones są dzielnicami zdominowanymi przez muzułmanów, które są w dużej mierze niedostępne dla nie-muzułmanów z powodu bezprawia, braku bezpieczeństwa i prawa szariatu. Władze często nie są w stanie lub nie chcą zaspokoić tam nawet podstawowych potrzeb publicznych z obawy przed atakiem.

Rzeczywistość jest taka, że te strefy to te same biedne i mające mniejsze prawa getta, które przez dziesięciolecia były zaniedbywane przez władze. We Francji nazywa się je strefami “Zones Urbaines Sensibles” (ZUS), czyli miejskimi strefami wrażliwymi. Ich wielkość, wskaźniki przestępczości i poziomy bezpieczeństwa są bardzo różne. Według raportów, we Francji praktycznie nie ma miasta, które nie ma co najmniej jednej strefy ZUS.

Strefy te zaczęły powstawać po drugiej wojnie światowej, kiedy

pierwsze fale imigrantów przybyły do Europy jako niewykwalifikowani robotnicy i osiedliły się w "Banlieues de la République" czyli na „przedmieściach Republiki”, albo w gettach – jak niektórzy chcą je nazywać. Dzisiaj żyje w nich przeszło pięć milionów ludzi. Zaliczają się do nich zdominowane przez muzułmanów dzielnice Paryża, Marsylii, Strasburga, Lille i Amiens. Francuski rząd ma listę 700 takich obszarów i określa je jako etniczne oraz wrażliwe ze względu na ubóstwo, przestępczość oraz niebezpieczeństwa z tym związane. Raport zatytułowany „No go zones w Republice Francuskiej”[1] utrzymuje, że dziesiątki takich obszarów są miejscami, gdzie policja nie może w pełni egzekwować prawa bez ryzyka konfrontacji lub strzelaniny.

Szwecja wyróżniła 61 takich obszarów znanych z wysokiej przestępczości, wysokiego bezrobocia oraz imigranckich konotacji. Podobnie uczyniły inne kraje europejskie. Pociągnęło to za sobą działania polityczne. Na przykład w czerwcu tego roku Dania wprowadziła prawo, które bierze na celownik 25 obszarów zdominowanych przez muzułmanów. Zgodnie z nim „dzieci getta” w wieku przedszkolnym muszą spędzać co najmniej 25 godzin w tygodniu ucząc się duńskiego, poznając wartości i kulturę, w tym tradycję Wielkanocną i Bożonarodzeniową. Rodzice, którzy się nie podporządkują, tracą zasiłki z opieki społecznej. Te „dzieci getta” stanowią część z 10% duńskich dzieci, które rozpoczynają naukę w szkole podstawowej ale wcześniej nie uczęszczały do przedszkola.

Chociaż uważam, że dobrze jest, aby dzieci nauczyły się umiejętności wymaganych do odniesienia sukcesu w swoich społeczeństwach, problem z tą ustawą jest taki, że dotyczy ona biedniejszych obywateli, którzy otrzymują zasiłki. Inni obywatele nie są zobowiązani do przestrzegania tych zasad i mogą czekać z wysłaniem dzieci do szkoły, aż ukończą sześć lat. Kryteriami były tu dochody, przestępczość, status zatrudnienia, wykształcenie i „pochodzenie nie-zachodnie”.

Są jednak czynniki, które wymykają się tym kryteriom. Strefy

no-go to zawsze najbiedniejsze obszary w kraju. Są to miejskie bloki, przez dziesięciolecia zaniedbywane przez władze, gdzie rozwijała się przestępczość, działały gangi, a później następowała radykalizacja. Nie zaprzeczam codziennej wrogości i niechęci wobec kobiet i Żydów w wielu europejskich dzielnicach. Oczywiście są dzielnice w całej Europie i Ameryce Północnej, gdzie organa porządku nie są widoczne lub działają w cywilu, ponieważ zbyt ryzykowne jest chodzenie tymi ulicami w mundurze policyjnym.

Jednak nie jest możliwe udowodnienie, że dana dzielnica jest strefą no-go. To, co mamy, to obszary etniczne, a czasem niebezpieczne, które większość z nas boi się odwiedzić. Są to getta z biednymi, żyjącymi w złych warunkach i stygmatyzowanymi obywatelami. Ostatniej rzeczy, jakiej potrzebują, jest jeszcze większa stygmatyzacja ze strony mediów i prawa. Społeczny, kulturalny i etniczny apartheid może mieć miejsce wszędzie. Prawda jest taka, że te strefy nie są obszarami, do których nie można wejść w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale są to obszary gdzie możemy spotkać się z niebezpieczeństwami, wynikającymi z wysokiej przestępczości i braku zabezpieczeń. Ponadto te obszary nie są identyczne. Część z nich to strefy „musisz-ją-opuścić”, inne to strefy „nie-wchodź-tutaj”, a jeszcze inne to obszary gdzie „wchodzisz na własne ryzyko”.

Rozwiązaniem dla tych, którzy żyją w nędzy społecznej, jest zmniejszanie nierówności społecznych i ekonomicznych oraz promowanie asymilacji ekonomicznej. Trudno mieć stabilny kraj bez korygowania takich historycznych niesprawiedliwości.

Faktem jest, że od drugiej wojny światowej wiele z tych społeczności zostało umieszczonych w gettach przez ich własne rządy. Są produktem ubocznym oficjalnej polityki, która zepchnęła je na biedne przedmieścia. Teraz te getta są podżegane do nienawiści, wrogości i goryczy zarówno przez ich mieszkańców, jak i przez resztę społeczeństwa. Getta czują się stygmatyzowane i zostawione same sobie z brakiem pracy i

perspektyw, a społeczeństwo czuje się zagrożone.

Zwykły człowiek słysząc takie koncepcje może wyobrazić sobie małe niby-państwa w danym kraju oraz islamistów, przyspieszających tworzenie obszarów niedostępnych dla niemuzułmanów. Ale stwierdzenie, że te obszary są mini państwami rządzonymi przez szariat, jest nieprzekonująco słabe. Tak, istnieją obawy, że muzułmanie na Zachodzie odrzucają wartości zachodnie, a zamiast tego zanurzają się w radykalnych wersjach islamu. Może to również sprawiać wrażenie, że prawa islamskie są stosowane zamiast praw danego kraju, ale tak nie jest.

Problemy z mniejszościami i nowymi przybyszami nie są niczym niezwykłym w krajach z bogatą historią imigracji. Od dziesięcioleci integracja nowo przybyłych osób stawia wiele wyzwań zachodnim modelom życia. Każda społeczność imigrantów (na przykład katolików, Irlandczyków, Żydów) na Zachodzie była nękana, zanim została zaakceptowana w głównym nurcie społeczeństwa. Jeśli chodzi o muzułmanów, wielu badaczy uważa, że to, co widzimy dzisiaj, jest jedynie przejściowym etapem do spójności społecznej, a oni też, prędzej czy później, staną się częścią głównego nurtu. W rzeczy samej wiele z wyrażanych dzisiaj obaw dotyczących integracji muzułmanów na Zachodzie jest identycznych z obawami sprzed stulecia odnośnie integracji katolików, którzy byli postrzegani jako niedemokratyczni i niepatriotyczni z powodu ich niechęci do integracji i lojalności wobec papieża. Ale wszystko to zmieniło się, gdy katolicy utorowali sobie drogę do akceptacji i pełnego obywatelstwa.

Autorstwo: Hicham Tiflati

Tłumaczenie i opracowanie: Severus-Snape

Źródło oryginalne: Eeradicalization.com

Źródło polskie: Euroislam.pl

O AUTORZE

Hicham Tiflati jest kanadyjskim naukowcem, muzułmaninem.

Zajmuje się badaniem relacji muzułmanów z niemuzułmanami, radykalizacją i tematyką integracji. Koordynuje projekt Canadian Muslims Online i prowadzi bloga Tiflati.blogspot.com. Jest doktorantem Department of Religious Studies na Université du Quebec w Montréal.

PRZYPIS

[1] Autor odwołuje się pod tym linkiem do recenzji książki Raheema Kassama „No Go Zones: How Sharia Law Is Coming to a Neighborhood Near You”.